

## Nota ZSRR do ChRL

Jak donosi Agencja TASS, radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych złożyło kategorię protestu ambasadzie ChRL w Moskwie w związku z chuligańskimi wyrykami przed gmachem ambasady ZSRR w Pekinie, które „poważnie zakłócają normalną pracę ambasad i zagrażają bezpieczeństwu jej pracowników”.

Nota przypomina incydent, który wydarzył się 22 sierpnia rano, kiedy to zorganizowane grupy ludzi w pobliżu ambasady zatrzymały samochód z flagą państwową i zażądały, żeby radzieccy dyplomaci wysiedli z auta. Charge d'affaires zmuszony był powrócić do ambasady i nie mógł pojechać wiceprezesa Zambii, udającego się do motelu do Moskwy.

Nota stwierdza, że przed ambasadą ZSRR w Pekinie od kilku dni gromadzi się rozwydrzony tłum, który „jest podjudzany przez organizatorów prowokacji”. Pewnego razu z tłumem rzucono kamieniem w pracownika ambasady radzieckiej. Na ścianach domów, na chodnikach i na jezdniach rozklejane są ulotki i plakaty oraz wyśmiewane hasła „wzywające do nienawiści i stosowania przemocy wobec obywateli radzieckich”. Policjanci chińscy, na których oczach dzieją się te bezczesztwa, nie podejmują żadnych kroków.

Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych ChRL odmówił przyjęcia protestu chargé d'affaires ZSRR przeciwko zatrzymaniu przemocą samochodu i w gruncie rzeczy oświadczył, że władze chińskie nie wykluczają możliwości kontynuowania eskcesów wokół ambasady radzieckiej.

Nota radziecka ocenia wszystkie te poczynania, jako „bepośrednie pogwałcenie powszechnie uznanych norm prawa międzynarodowego”.

DWA TYKI POLITYKI

## Genewa: bez zmian

Sprawozdanie, jakie w imieniu Komitetu Rozbrojeniowego 18 Państw przedłożone zostało na XXI sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, nie będzie zbyt różniło się od podobnych sprawozdań, składanych w poprzednich latach na tym forum. Kolejna runda zakończonych 25 sierpnia rokowań genewskich przyniosła bowiem identyczne co jej poprzedniczkę rezultaty: brak porozumienia w najistotniejszych sprawach, które były przedmiotem obrad – w sprawie nierozpowszechniania broni jądrowej na nie posiadające jej kraje i w sprawie rozszerzenia Układu Moskiewskiego na podziemne doświadczenia z bronią jądrową.

Słowem – ani jedna, ani druga sprawa nie ruszyła z miejsca.

Ale błędem byłoby spisanie tej, kolejnej

rundy tokowań genewskich, „na straty”. Bo chociaż nie osiągnięto porozumienia i chociaż w sprawozdaniu końcowym zawierają się głównie „nadzieje na przyszłość” – tym razem obserwowaliśmy w Genewie nowe zjawisko. „Kraje neutralne – jak stwierdza zachodniemiecki „Handelsblatt” – są jednomyślnie z przedstawicielami Wschodu, iż osiągnięcie sukcesu w ostatnim okresie posiedzeń udaremnione zostało przez Bonn”.

Istotnie, jeszcze nigdy przedtem stanowiska ośmiu krajów neutralnych i pięciu krajów socjalistycznych nie były tak bliskie, a czasem wręcz identyczne jak na obecnej sesji. Kraje neutralne, we wspólnym, przedłożonym Komitetowi memorandum, stwierdziły wyraźnie, że sprawa do-

(A) Dalszy ciąg na str. 2

Cena 50 gr

Wydanie A \*

Dziewczęta na 1150 sek.

W ROCZNICĘ WRZEŚNIOWEGO NAPADU NA POLSKĘ I W ROCZNICĘ WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ, KTÓRA POCHŁONĘŁA MILIONY OFIAR – PRZYPOMINAMY ZNANY INCYDENT GLIWICKI W RELACJI WALTERA SCHELLENBERGA – SZEFA ZAGRANICZNEJ SŁUŻBY WYWIADOWCZEJ III RZESZY – JAKO PRZYKŁAD PERFIJDY DZIAŁANIA I OBLUDY SŁOWA.

# panorama

## DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO

Rok XXI

Łódź, niedziela 28 i poniedziałek 29 sierpnia 1966 roku

Nr 205 (6132)

## TAK SIĘ ZACZEŁA WOJNA ŚWIATOWA

25 sierpnia 1939 r. dokuczliwy upał panował w Berlinie. Dr Mehlhorn zatelefonował do mnie, zapytując czy będę wieczorem wolny. Chciał ze mną porozmawiać pilnie w sprawach osobistych i uważał, że lepiej będzie nie robić tego w moim biurze. Tak tedy o ósmej spotkaliśmy się w małej, zacisznej restauracyjce. Był to właściwie punkt kontaktowy kontrwywiadu i od kucharza aż po szefa kelnerów cały personel stanowią specjalnie wybrani zatrudnieni przez mnie agenci – pisał w swoich pamiętnikach Walter Schellenberg.

Spotkanie doszło do skutku.

Znosi się na wojnę – powiedział dr Mehlhorn. – Dłużej nie można już jej wstrzymać. Hitler dawno już powziął decyzję; musisz o tym wiedzieć. Wszystko już jest gotowe. Nawet jeśli mocarstwa zachodnie albo Polska w ostatniej chwili wystąpią z krokami pojednawczymi, nawet jeśli Włochy będą usiłowały pośredniczyć, nie zmieni to zasadniczego planu Hitlera. Może tylko opóźnić nieco sprawę i to wszystko.

Jego głos stawał się coraz bardziej podniecony, gdy opowiadał o tym, jak Heydrich zaprosił go do swego biura i nieoczekiwanie pokazał mu jeden z tajnych rozkazów Hitlera. Przed 11 września, jeśli to możliwe, należało stworzyć absolutnie nieodpartą przyczynę wypowiedzenia wojny, taka, która usprawiedliwiłaby nas wobec historii, a w oczach świata uczyniła Polskę odpowiedzialną za agresję na Niemcy. Opracowano plan prowokacji, polecono ubrać oddział dywersantów w polskie mundury wojskowe i zaatakować radiostację w Gliwicach. Hitler polecił realizację tego planu Heydrichowi i admirałowi Canarisowi, szefowi wojskowego wywiadu. Jednakże Canaris był tak zaskoczony tym rozkazem, że wykręcił się z tej operacji. W ten sposób sam Heydrich pozostał odpowiedzialny za

skuteczność gliwickiej prowokacji. On to osobiście wtajemniczył Mehlhorna w szczegóły działania. Polskie mundury miał dostarczyć Keitel, tzn. Sztab Generalny Sił Zbrojnych.

Zapytałem Mehlhorna skąd weźmie Polaków do noszenia mundurów. – W tym sek. – odrzekł. – To jest diabelska część tego planu. „Polakami” będą więźniowie z obozów koncentracyjnych. Po zakończeniu operacji większość z nich naturalnie zostanie karnie. Obiecano im, że każdy, któremu się uda wyjść z tego cała, natychmiast odzyska wolność.

Przerwał, a po chwili rzekł: – Heydrich powierzył mi dowództwo tej operacji, aby się mnie pozbyć. Zdaje sobie z tego sprawy. Chce mojej śmierci. Co mam robić?

Milczałem. Cóż mogłem mu poradzić? W końcu rzekłem: – Cała ta historia jest szalona. Nie można kształtować historii świata takimi pociągami. To się nie da utrzymać w tajemnicy. Kiedyś cała rzecz się wyda. Znajdź sobie jakieś wytłumaczenie, aby odmówić. Cokolwiek przytrafi ci się w konsekwencji odmowy będzie lepsze niż wykonanie polecenia.

Następnego dnia Mehlhorn stanął w obliczu najtrudniejszej decyzji w swojej karierze. Zdobyl się na odmowę uzasadniając to stanem swojego zdrowia. Heydrich po kilkuminutowych targach ostatecznie zgodził się na zastrzeżenia Mehlhorna i dziesięć minut później rozkazał, aby skierowano go na trudny odcinek szycjącego się frontu.

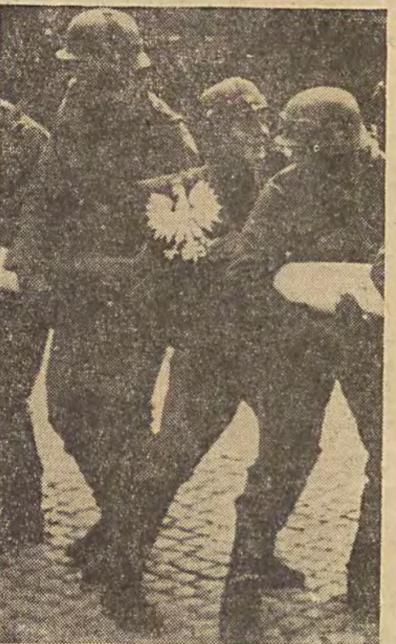
1 września 1939 roku o godzinie 10 Hitler wygłosił przemówienie w Reichstagu, zwracając się do narodu niemieckiego. Kiedy usłyszałem uzasadnienie rozpoczętego na świecie ataku na Polskę zaledwie mogłem wierzyć swoim uszom:

„Liczne ataki polskie na terytorium niemieckie, a wśród nich atak regularnych polskich sił zbrojnych na radiostację w Gliwicach” – oto było to uzasadnienie. Wiedzieliśmy jednak, że już cztery godziny wcześniej Hitler wydał rozkaz ataku i przekroczenia granicy Polski. Zaczęła się II wojna światowa.

Oto jak w relacji jednego z szefów wywiadu hitlerowskiego wyglądały kulisy operacji, która stworzyła miała tzw. casus belli – bezpośrednią przyczynę do wszczęcia działań przeciwko Polsce. Operacja ta została przeprowadzona, więźniowie odziani w polskie mundury zostali zabici przez Gestapo i porzuceni pod murami radiostacji w Gliwicach tak, aby komisja skierowana na miejsce mogła z całym przekonaniem ustalić fakty i stwierdzić wobec historii i świata, że to Polacy pierwsi zaatakowali III Rzeszę. Nie był to pierwszy i nie ostatni przypadek prowokacji, którą posługiwała się tajna policja hitlerowska.

Relacja Schellenberga zawiera wiele elementów wybielających: pokazany jest dr Mehlhorn, który „wstrząśnięty” perfidią planu odmawia realizowania go. To już jest opowiadanie dla naiwnych, gdzie bowiem byli ci odmawiający wykonania rozkazów Mehlhornowie, gdy w obozach zagłady likwidowano miliony niewinnych i bezbronnnych? Zasada Hitlera było cyniczne hasło, że zwycięzcy nie sądzą – i gdyby bieg historii potoczył się tak, że III Rzesza wyślaby z wojny światowej jako zwycięzca – ten sam Schellenberg jakże inaczej opisywałby w swoich pamiętnikach „bohaterkie” kulisy wojny z Polską, która napadła na spokojne, milujące pokój, tolerancyjne i kulturalne, hitlerowskie Niemcy.

J. Ra



Pierwszy odcinek „Drogi do szczęścia” czytaj na str. 6



to tytuł nowego konkursu dla fotografatorów. Tym razem – dla posiadających wyższy stopień fotograficznego wtajemniczenia. Chodzi nam bowiem o... portret dziewczyny. A że, jak wiadomo, nie ma dziewcząt brzydkich, nie będziemy zwracać uwagi na urodę modelek, ale przede wszystkim na ujęcie, oświetlenie, ciekawe tło zdjęcia itd. Fotografujemy (oczywiście robione tylko przez amatorów) o wymiarach co najmniej 13x18 cm, prosimy nadsyłać na adres „Panorama”. Autorzy zdjęć publikowanych otrzymują honorarium. Najlepsze fotografie miesiąca wyróżniane będą specjalnymi nagrodami.

P.S. Nagrodę książkową za najciekawsze zdjęcie sierpnia w konkursie „Obrazy malowane słońcem” otrzymuje pan Włodzimierz Koneman, Łódź, Obr. Stalingradu 42.



## Piraci mimo woli?...

Gdyby tak na podstawie opinii przeciętnego pieszego użytkownika naszych dróg, do którego czat czterech koleżek nie ma jeszcze dostępu, sformułować definicję zawodowego kierowcy – okazało by się zapewne; że: jest to człowiek, który bez przerwy klnie, nagminnie i z satysfakcją łamie wszelkie przepisy drogowe, robi kokosy na „lewym” benzynie, „lewych” kursach i „lebkach”, traktuje każdego przechodnia jak osobistego wroga i w zasadzie, jako potencjalny pirat. W każdej chwili może pozbawić nas możliwości przebywania wśród dróg bliźnich.

Ten odbity w nieco krzywym zwierciadle portret przeciętnego kierowcy, z którego wszystkimi zarzucałymi mu grzechami, trudno byłoby jednak zgodzić się bez dyskusji, świadczy zresztą nie tyle o bezwzględnej antypatii pieszego do ludzi za kierownicą, ile o fakcie, że jest to rzeczywiście zawodowy kierowca, który publicznie, w sposób mało wprawdzie w o tego bolączkach, ale za to doskonale widzi ciężące na jego przedstawicielach obowiązki.

Dostarczając poważną rangę tego zawodu, ot chociażby w sensie osromnej odpowiedzialności za obniżający stan bezpieczeństwa na naszych drogach, zapomnia się jednak naier często, że winna to być odpowiedzialność na zasadzie „odpowiednie, ulatwiającego spełnienie tych obowiązków, ekwiwalentu. Niestety, w praktyce, daleko jeszcze do osiągnięcia stanu koniecznej równowagi na tym polu. Do pokazanego ciężaru odpowiedzialności za ludzkie życie i państwowe mienie dochodzi jeszcze niemały bagaż zawodowych trosk i kłopotów, o których pisaliśmy już nieco w poprzednim poświęconym tym problemom artykule, a które w znacznym stopniu wyoływają na wielu nie zawsze zgodnych z pra-

wem i kodeksem drogowym poczynają kierowców.

### PRZEZ PRYZMAT ZŁOTÓWKI

Większość z obserwowanych przewinień i rozlicznych kombinacji kierowców, które w mniej lub bardziej groźny sposób odbijają się na bezpieczeństwie ruchu, wiąże się np. ściśle z faktem masowego dorabiania przez kierowców do niewysokiej, zasadniczej pensji. W takim dajmy na to przedsiębiorstwie transportowym ów „odpowiedzialny za życie i mienie” kierowca z prawem jazdy I kat. (co najmniej 6 lat pracy za kierownicą) zarabia 5,60 na godzinę. Dla porównania – jego kolega ładowniczy – 7 zł. Kierowcy powiększają więc zwykle swoje zarobki przeprowadzając maksymalne ilości godzin nadliczbowych. Do pierwszych 14 ułatwia im zazwyczaj drogę każdy przedsiębiorstwo, które gdy mu przyjdzie w temple rozładować wagony lub też placić słone „osiowe” – przyrządka oczy na wszelkie godzinowe nadwyżki. Istnieje wprawdzie przepis, który mówi, że po skończonej pracy każdy kierowca winien wypocząć co najmniej przez 8 godzin, w praktyce, jednak, kiedy trafia się dobry kurs i okazja zarobienia nieco grosza, nieleden kierowca siada z kółkiem po czterech, pięciu godzinach snu, zadowolony jeszcze, że dyspozytor wypuścił go z bazy.

A przy tym nikomu nawet nie przyjdzie do głowy by zaopatrzyć w takich wypadkach kierowców w dobrze zapaszoną, mooną kawę (te naturalną!) lub przynajmniej w ampulki kofeiny. Także – i w wypadku kierowców, jeżdżących regularnie w nocy. Funduszy na ten cel nie przewidziano...

Jak dalece to wleczone prze-meczenie kierowców, podbiech i nerwowa gonitwa za każdą

złotówką wpływają na bezpieczeństwo jazdy nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. W dodatku, często – jeśli kierowcy wyjeżdżają w teren woźmi, w których hamulcom to i owo brakuje, a nadmierne luz kierownicy nie nastraja zbyt optymistycznie na myśl o szybkim wyminięciu zapalonego przechodnia. Oczywiście dyspozytor mógłby nie puścić w drogę przemęczonego kierowcy lub niesprawnego woza, ale niestety – nawet zakładając maksimum dobrej woli z jego strony – rzadko kiedy jest on w stanie sprawdzić dokładnie wszystkie wozy. Ogranicza się więc zwykle do wrywkowych kontroli, wzmocnionych jedynie w dniach wypłat i co popularniejszych imienin. Pewną asekuracją jest tu przepis, zobowiązujący kierowcę do poinformowania zwierzchnika o wszelkich zagrażających bezpieczeństwu jazdy, usterekach. W praktyce jednak obie strony znajdują łatwo drożę, żeby ominąć i te przeszkody.

Napięte plany, mała ilość kierowców, a przede wszystkim brak części zamiennych i kłopoty z remontami powodują np. nader często, że kierowcy baz po prostu „nie widzą” wycieczających za bramę rozklekotanych wraaków, lub też, mimo stwierdzonych usterek, wydają kategorięczne polecenie wyjazdu. Także sami kierowcy ukrywają nierządko stwierdzone defekty, byle tylko złapać dobry kurs i wyjeżdżać jak najwcześniej. Mówią zresztą o tym otwarcie: – jak będę stał w warsztacie twój albo dwa na godzinowej stawce i czekał aż mi grafa wyremontują to sużk zarobie. Wole już jeździć na „lut szczęścia”... I jeździę...

### DEWIZA – „OSZCZĘDNOŚĆ”

Do innych również „bezpiecznych” praktyk kierowców mających na celu zdobycie lub zaoszczędzenie nieco grosza należą np. przeróżne kombinacje z paliwem. Kierowcy (i nie tylko) twierdzą bowiem, że ustalone od-

(Dalszy ciąg na str. 3)



# Bohaterowie i... owce

★ „Dziennik” z wizytą u George’a Bidwella  
★ Co robi pisarz, kiedy nie pisze?  
★ Powieść o... owcy

Alle tu w okolicy jest to sprawa nie tylko, a może nawet i nie przede wszystkim, popularności literackiej państwa Bidwella. Tutaj, wśród sąsiadów, w Przeciecu, w powiecie jeleniogorskim, a nawet w całym województwie wrocławskim są znani z... hodowli owiec i z licznych publikacji na ten temat zamieszczanych w „Gazecie Robotniczej”

— Czy owce stanowią dla państwa tylko hobby, czy też życiowa konieczność, jako że honoraria literackie nie są w naszym kraju wygórowane?

— Od początku — mówi p. Bidwell — miałem nadzieję, że hodowla owiec będzie finansowo korzystna. Myślałem poza tym, że z biegiem lat nie będę mógł już zbyt wiele pisać...

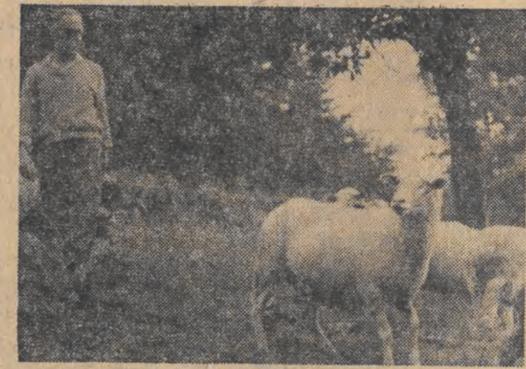
— A tymczasem mać pisze coraz więcej — dodaje p. Anna.

— Początkowo hodowaliśmy owce miejscowej rasy fryzyskiej, ale w następnych pokoleniach coraz bardziej się wyradzały. Sprobowaliśmy więc z Anglii tryka rasy Kent i skrzyżowaliśmy tę rasę z

Na wołanie: „Ba! Ba!” trzydzieści owiec z głośnym beczaniem przypędziło w poprzek rozległej łąki by od swych właścicieli „odebrać pogłaskanie”, lub choćby „cieple” słowo. Państwo Bidwellowie znają przecież każdą z nich po imieniu. Kiedy byłem tu pięć lat temu, cała sprawa sprowadzała się właściwie do projektów. „Zalóżymy tu owczy dwór” — mówili wtedy gospodarze, ledwo co osiedleni w Przeciecu nieopodal Cieplic. I rzeczywiście. Dziś wita przybyśia napis na bramie: „Owczy Dwór”, a zresztą i bez tego nietrudno trafić. Drogę wskaże każdy.

miejscowa. Krzyżówka, naruszająca wyraźnie lokalne tradycje w tym zakresie, udata się nadspodziewanie i obecnie każda z trzydziestu owiec daje rocznie średnio 5 kg wysokiej klasy wełny, za którą w punkcie skupu płać 230 zł za kg.

— Czy jednak to zajęcie nie osłabia pańskiej aktywności



literackiej?

— Bynajmniej. Ukazała się właśnie nakładem Wydawnictwa Poznańskiego zbeletryzowana biografia wielkiego odnawcy Marco Polo pt. „W służbie wielkiego chana”. Muśliemy przed jej napisaniem przebrnąć przez jego „Opisa-

nie świata”, które jest — co tu dużo mówić — potężną „piłą”. Poza tym ostatnio ukazały się, w Anglii, opracowania chińskie na temat czy nowo Marco Polo i to zdopingu wało nas do tej pracy. Przygotowujemy także powieść z życia Szekspira pt. „Labeńdz z Avignonu”. W tej książce bohater opowiada ukochanej

owce o swoim życiu, a jednocześnie pisze „Burze”, która jest jego pożegnaniem ze sceną. Podpisaliśmy ponadto umowę z wydawnictwem na II część „Oliwii i Filipa”. Pewne wydawnictwo pertraktuje z nami w sprawie powieści o... owcy...

— O owcy?!  
— Cóż w tym dziwnego? Były przecież powieści o psie, o kocie, o wiewiórce... Pamięta pan zapewne „Lessele wrócić!”?

— Jest pan Anglikiem. Dla wyjaśnienia dodajmy, że pisze pan wszystkie swoje powieści po angielsku, a następnie żona — p. Anna Bidwell, tłumaczy je „na gorąco”. Jest pan więc Anglikiem...

— I rzeczywiście członkiem Związku Literatów Polskich...  
— Czy angielscy wydawcy interesują się pańskimi książkami?

— Dotychczas nie. Piszę wprawdzie o angielskich bohaterach narodowych, ale dla polskiego czytelnika.

— Czy to jakaś różnica?

— Oczywiście. Sądzi, że np. książka o Kościuszcze napisana dla Anglików, znużyłaby polskiego czytelnika, musiałaby bowiem zawierać mnóstwo podstawowych informacji, takich, które w Polsce zna każdy uczeń.

— Inne pytanie: Jest pan jednym z niewielu pisarzy żyjących poza wielkimi ośrodkami. Czy nie przeszkadza panu to odcieranie od środowisk literackich?

— Nie. Uważam, że pisarz powinien żyć w mieście w ciągu pierwszych, powiedzmy, czterech lat swojej kariery. Ale jeśli zbyt długo będzie siedział w tym świątku, jego horyzonty zawęża się. W Anglii np. jest to rzecz normalna, że początkujący pisarz jedzie do Londynu, a gdy się wybił, wyda 2-3 książki, ucieka na wieś. Pisarz zawsze zna miasto, życie inteligencji i robotników i zawsze będzie z nim w kontakcie.

A później oglądałem „Owce Dwór”: dorodne owce, rozwijająca się kurza ferma, wzorowo prowadzony warzywnik. W końcu zawarłem doświadczenia z żoną i dwoma kotami (perskimi). Gdy zaś żegnaniem przemilczył gospodarzy i ich córki, która za rok, po maturze, wybiera się na studia rolnicze (ze specjalizacją w kierunku owczarstwa) czułem żal, choć jestem człowiekiem „miejskim”. Bo wieś ma w sobie nieprzparty urok i jak się okazuje na powyższym przykładzie, wbrew niektórym opiniom, wyzwała pokład energii i inicjatywy...

Tekst i foto: J. Potęga

## Odżegnanie

W „Panoramie” z dnia 24/3 lipca br. ukazał się felieton red. Karola Badzika pt. „Ano nim”, oparty na nadesłanym do redakcji anonimowym liście, którego autora udało nam się wszelkimi zidentyfikować. W związku z tą sprawą Zarząd Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków przysłał następujące wyjaśnienie:

Wymieniony w artykule „Dziennika Łódzkiego” w dniu 24 lipca „Panorama” pt. „Ano nim” ob. Stanisław Wisniewski, s. Jana, zam. w Łodzi, ul. Pasternaka 14, nie jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Za Zarząd — sekretarz Leszek Różga”.

Z życia wyjęte

## LAICKA CELEBRACJA

Są takie momenty w ludzkim życiu, które poprzez swą doniosłość i wyjątkowość wymagają uroczystego charakteru, uroczystej oprawy. Odnosi się to w równej mierze do przeżyć tragicznych co radosnych, szczególnie jeśli dzieją się one w miejscach publicznych.

Jest to prawda dość oczywista, o której jednak w pewnym okresie na jakiś czas zapomnieliśmy. Mam tu na myśli w pierwszym rzędzie laickie śluby i pogrzeby. Dużo wody musiało upłynąć w Wiśle zanim śluby cywilne przestały być urzędową rejestracją związku; a stały się ceremonią satysfakcjonującą w pełni powagę wydarzenia.

Jest bowiem właściwością ludzkiej natury przeświadczenie o wyjątkowości danej chwili. Wtedy forma podczas dużego napięcia psychicznego współbrzmieć musi z treścią. Najbardziej osobiste i intymne wzniesienia po krywa się w takich razach dostojnym ceremonii. Nacisk niecodziennych w ludzkim życiu zdarzeń wywołuje niejako automatycznie potrzebę duchowych słownań. Wreszcie, wszelkie ceremonie, w tym tak laiczne jak i kościelne, sądowe czy wojskowe, sportowe i szkolne, ukane są z psychologii i służą nie nadzwyrodnym prawdom wiary, prawa i ideologii, lecz procesowi ich przenikania do wzruszonej ludzkiej natury. Służą do tworzenia nastroju i powagi wprost proporcjonalnej do rangi danego wydarzenia.

Tak więc świeckie ceremonie nie są jakimś wznowieniem magicznych środków obrzędowości, ani naśladowaniem kościelnej liturgii, lecz wynikają ze zrozumienia i uznania potrzeb ludzkiej natury skorej do wzruszeń. Nie mamy się czego wstydić, uczuciowość jest naturalną cechą człowieka i należy się jej godna oprawa. Ślad własnie wysiłki, aby sale, w których udziela się ślubów cywilnych nie przypominały pospolicich biur, lecz łebny spokójną elegancją, żeby powaga obrzędu odpowiadała powadze podjętej decyzji.

I rzeczywiście, na przestrzeni 22 lat dorobiliśmy się pod tym względem swoistej liturgii świeckiej. Zwyczajne biura USC przemieniły się w piękne salony a niereżadko „palace ślubów”, zadbano o oświetlenie form, o elegancję języka, o muzykę.

Niestety tej słusznej ewolucji ceremoniału cywilnych ślubów nie dorównują świeckie pogrzeby, którym ciągle brak jest godnych i dostojnych form, zwłaszcza gdy umarły jest zwykłym śmiertelnikiem. Pogrzeb sprowadza się wtedy do prozaicznej czynności zakopania trumny z nieboszczykiem w ziemi. Nędzawa na pogrzebie jednej z pauczycelek, która przepracowała kilkadziesiąt lat w swoim zawodzie nie było nawet sztandaru Związku Nauczycielstwa Polskiego, nikt nad jej grobem — ani dzielnicowy inspektor oświatowy ani przedstawiciel ZNP — nie zabrał głosu, aby choć w paru słowach powiedzieć wobec licznych zgromadzonych, w tym i młodzieży szkolnej, o niemających zawodowych i społecznych zasługach zmarłej. Wszystko odbyło się, żenująco szybko, w milczeniu pełnym jakiejś pustki. A ktoś bardziej niż właśnie władze szkolne powinien w takim wypadku zadbać o właściwe i przykladne oddanie hołdu zmarłemu pedagogowi w chwili ostatniego z nim pożegnania przed opuszczeniem trumny do grobu. Bo przecież nauczanie młodzieży szacunku dla pamięci o człowieku, który spędził ze swymi uczniami wiele lat życia — jest też częścią składową wychowania.

A w ogóle to miejskie przedsiębiorstwo pogrzebowe winno mieć chyba jakiegoś umiętelnego i taktownego organizatora, który w razie potrzeby potrafiłby stworzyć, zasugerować czy zainspirować odpowiednią oprawę, nastrój, a w razie konieczności — i mowę pożegnalną wygłosić. Aż się prosi też by pomyśleć o zastalowaniu w domu przedpogrzebowym na Cmentarzu Komunalnym magnetofonu z nagraniami muzyki poważnej stosownej do chwili. O stworzeniu możliwości, na każde życzenie, odprowadzenia zmarłego do grobu — z orkiestrą, grającą marsze żałobne... Zresztą trudno tutaj wysuwać jakieś bardziej konkretne postulaty. Obyczaje tworzą się w sposób spontaniczny, często poprzez precedensy. Ważne jest, aby do tej kwestii przywiązywać więcej wagi niż dotychczas. Ostatnia posługa winna mieć należytą oprawę. Człowiek nawet po śmierci nie przestaje być człowiekiem. Należy mu się głęboki szacunek żyjących. Takie są wymagania tradycji i kultury społeczeństw.

KAROL BADZIAK

# PIRACI MIMO WOLI...?

(Dokończenie ze str. 1)

górnie normy zużycia benzyny są za bardzo wyrubowane i niejednokrotnie w specyficznych i trudnych warunkach eksploatacji wozów panujących w wielu przedsiębiorstwach — wręcz niemożliwe do utrzymania. Nie wdając się w fachową dyskusję na temat słuszności tych zarzutów trzeba jednak dodać, że w efekcie, drogą nie zawsze bezpiecznych sposobów, (że wymienimy tylko jazdę na tzw. luzie) sporo kierowców utrzymuje się jakos w normach próbując nawet oszczędzać na „czarna godzinę”... Jeżeli nie zaoszczędzą dziś, będą musieli jutro dopłacić za „przepały” z własnej kieszeni — wyjaśniają kierowcy, przytaczając przy okazji jako interesujący przykład parlowych rozrachunków fakt

wypłacania kierowcom za litr zaoszczędzonej benzyny z 3,50 i pobierania od nich za tenże sam litr w razie przekroczenia normy sumy z 4 i 80 groszy. Albo taka np. powszechnie już wtykana kierowcom jazda na „luzach opanach”... Jeździmy tak — powiadają w odpowiedzi — bo po pierwsze z oponami kruchymi (w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa), a po drugie — bo zawsze przyda się przecież w domu premia za dłuższą niż tego żądają normy, eksploatację ogumienia.

To prawda — jeżdżąc rzeczywiście jak długo się da, ciulają skrzętnie nadliczbowe godziny, brawurową i niebezpieczną jazdą nadrabiają opóźnienia w przewozach spowodowane często złą organizacją pracy, zasympiają nad sterem, roztrzaskują się o drzewa, zabijają przechodniów...

Z całą pewnością mają wiece racje ci, którzy mówią o szkodliwości wszelkiego rodzaju szoferskich „fuch”, karygodnym nieraz braku poszanowania dla przepisów ruchu i placze pijanych kierowców. Tym niemniej, denuncjacja wagi tych zarzutów mówiących o rosnącej liczbie zabitych i kalek o alarmowej sytuacji na naszych drogach — warto także przyrzeć się nieco wnikliwiej — drugiej stronie problemu. Problemu, dla którego rozwiązania same ostrzegawcze plakaty, apele i mandaty nie działają wiele; tak długo, jak długo każdy kierowca w swoich licznych zawodowych troskach i kłopotach pozostawiony będzie samemu sobie. A na razie jeszcze sporo pozostaje w tej dziedzinie do zrobienia...

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

Mieszkający obecnie w Montrealu płk. w stanie spoczynku M. Rybikowski był szefem polskiego wywiadu zaczepnego na III Rzeszę. Jego wspomnienia posłużyły nam do opracowania frapujących opowieści o ludziach polskiego wywiadu

Pierwszym badaniem, nie szczędząc mu najwymyślniejszych tortur, gestapowcy poddali Jakubianca w swej głównej siedzibie przy Prinz Albert Strasse. Schwytany jednak uparcie milczał. Aby więc „zmięknął” — zesłano go do „bunkra śmierci” w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, gdzie — wspólnie z komendantem AK gen. „Grottem” Roweckim stracono go w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku.

Być może, iż Niemcom nie udało się wpaść na trop Jakubianca i przeżyłby on okres wojny, gdyby nie dwóch najsłynniejszych AK z Warszawy, Nieblich i Kotula, którzy przyjechali do Berlina aby przekazać mu meldunek o sytuacji w kraju. Dał się oni bowiem bez większego trudu złapać w pułapkę zastawioną na nich przez agentów Schellenberga.

Po aresztowaniu Jakubianca i innych Polaków pracujących w attachacie Macdzkuo, nastąpiły dla polskich wywiadców w III Rzeszy ciężkie czasy. Niemniej nie przerwali oni swej działalności. Szczególnie wyróżniał się Piotr Hołowko, który wykorzystując swoje z ukraińska brzmienie nazwisko udawał gorącego faszystę i nacjonalistę ukraińskiego.

A co się stało z płk. Michałem Rybi-

kowskim vel Jacobsenem vel Peter Iwanowem? Otóż natychmiast po pożegnaniu się z Jakubiancem pojechał on do hotelu. Kiedy otworzył drzwi do swojego pokoju zobaczył kilku stojących mężczyzn z wycełowanymi prosto w niego lufami pistoletów maszynowych. Jeden z nich zaptał go: — Ma pan paszport wystawiony na nazwisko Jackobsen czy Peter Iwanow, bowiem gestapo wpadło na trop Iwanowa?

Ledwo zdążył odpowiedzieć wiloczono go siłą do samochodu, a w kilka godzin później wypłynął na pokładzie kutra z małej miejscowości leżącej na północy Danii w stronę brzegów Szwecji...

Swoje wyratowanie Rybikowski zawdzięcza niejkiej Bencie Heinicke, przyjaciółce bliskiego współpracownika szefa Abwehry admirała Canarisa — nika Pienbrocka, która już uprzednio nawiązała z nim kontakt, pragnąc prawdopodobnie na wypadek przegranej wojny przez Hitlera zapewnić sobie i swojemu „przyjacielowi” bezkarność ze strony aliantów. I to właśnie ona owę noc uprzedzając Gestapo wysłała do hotelu, gdzie mieszkał Rybikowski ludzi Pienbrocka.

Benta Heinicke dostarczyła też Rybikowskiemu fotokopie kilku niezwykle

ważnych dokumentów. A mianowicie protokół z konferencji w kwietniu 1941, na której to Hitler polecił aby po zdobyciu ZSRR zamieniono obszary od Dniepru aż za Ural w jeden ogromny oboz niewolniczej pracy. Inne znowu dokumenty mówią o likwidacji w obozach koncentracyjnych chorych więźniów.

Po powrocie do Sztokholmu płk. Rybikowski zajmuje się przede wszystkim opracowaniem materiałów, które nadeszły via Szwajcaria od „Gambita” (prawnik warszawski Frydman-Mirski, od 1939 roku przebywający na Węgrzech) z Budapesztu. „Gambit” m.in. donosił o zabijaniu w Oświęcimiu więźniów zastrzykami fenolu. Rybikowski otrzymuje również stale informacje od Leszka Duszkiewicza, który będąc sekretarzem japońskiego konsula Sugihary przenosił się wraz ze swym szefem z Pragi na kolejną placówkę konsularną w Królewcu, gdzie szybko złożył sprawnie działającą placówkę polskiego wywiadu.

Pod koniec 1943 roku płk. Rybikowski wyjeżdża nagle do Finlandii, gdzie spotyka się z „Murką”, Czeską, a żoną Fina, która od dłuższego czasu pracowała dla Polaków. Przywiozła ona z Pilna wiadomości o produkcji w fałszywych zakładach „Skoda” niemieckich ezol-

ów typu Panzer IV, Tygrys, Leopard i dział szturmowych oraz rewelacyjną informację, że na wyspie Uznam — w rejonie wsi Karlshagen i Peenemünde — hitlerowcy budują wielki ośrodek rakietowy.

Udaje mu się też wywołać oburzenie szwedzkiej opinii publicznej. Otóż Rybikowski udziela pewnemu dziennikarowi sztokholmskiemu informacji, że obok wszystkich ważniejszych instytucji rządowych w stolicy Szwecji mieszczą się agentury wywiadu Schellenberga, zdolne w każdej chwili do zbrojnego opanowania Sztokholmu.

Wkrótce potem w jednej z ostatnich nocy grudniowych 1943 r. płk. M. Rybowski wsiał do samolotu, aby rano „należeć się w Anglii, gdzie do końca wojny już pozostawał, a następnie osiedlił się na stałe w Kanadzie.

Zapewne wielu naszych czytelników będzie szczególnie interesował działalność polskich wywiadców w III Rzeszy. Na temat ten ukazało się już kilka publikacji tak w kraju jak i na Zachodzie. Do najsłynniejszych i najciekawszych z nich należy zaliczyć wydany przez „Książkę i Wiedzę” — „Tiergarten” St. Strumpha — Wojtkiewicza, z którego i my zaczerpnęliśmy niektóre informacje pisząc te artykuły.

Oprac. MAREK REGEL

**Temat dnia:**

**A nam jest szkoda lata...**



— W muzeum widziałem dużo ładnych rzeczy, ale to nie to!



— Zdaje się, że znalazłem jakiś wielki okręt!



— Marczyku!!!

**W**illiam Henry Brown, właściciel farmy w stanie Arizona, miał trzy wielkie namiętności: piękne samochody, piękne konie i piękne kobiety. Te ostatnie zwłaszcza darzył szczególną sympatią, mimo że niedługo miała mu już „stukać” siedemdziesiątka. Ale cóż znaczy wiek, gdy się ma miliony?

„Rolnik” z Arizony miał ich bardzo wiele, toteż mógł sobie pozwolić na spędzanie wakacji co roku w innym kraju. Ubiegłego lata zawędrował na wyspę Syll na Morzu Północnym, gdzie wpadła mu w oko przystojna brunetka, bardzo skąpo odziana. Za pośrednictwem przyjaciół, jeszcze tego samego wieczora William Henry Brown został

**KONTRAKT PANA BROWNA**

przedstawiony uroczej nieznajomej z plaży. Była to pani Beata Leber, małżonka literata z Heidelberga, Ralpha Lebera, autora dość mętnej książki o hitlerowskiej przeszłości i radosnej teraźniejszości pt. „Cień i światło” („Więcej cienia niż światła” — tak oto zwieźle scharakteryzował ową książkę recenzent dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung”).

Państwo Leber bardzo szybko zaprzyjaźnili się z multimilionerem z oceanu i towarzyszyli mu we wszystkich wędrowkach po zachodniomorskim wybrzeżu. Pan Leber nie był zaniepokojony zainteresowaniem, jakie pan Brown okazywał na każdym kroku jego żonie. Przeciwnie, często zostawiał ich samych, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Farmer z Arizony obiecał mu bowiem, że postara się o wydanie jego „Cienia i światła” w Stanach Zjednoczonych. Dla takiego celu warto poświęcić nawet najpiękniejszą żonę. Toteż pan Leber dyskretnie informował się w właścicielki hotelu, gdzie mieszkał jego przyjaciel: „Jak pani myśli, ile mi ten stary odpał, jak mu odstąpię żonę? Sądzę, że 350 tysięcy marek to nie będzie za dużo. Skoro

mi wyda książkę, to wszystko w porządku”. Wkrótce transakcja doszła do skutku. Po dwóch miesiącach zajętej przyjaźni, pan Brown wyłożył karty na stół: „Pan mi odstepuje żonę, ja panu wydaję książkę”. Poniżej jednak, jak przystało na farmera amerykańskiego pan Brown jest bardzo skrupulatny w rachunkach, uprzednio spisano umowę, na mocy której pani Leber zobowiązuje się w ciągu roku przeprowadzić rozwód i „powstrzymać się od wszelkich szkodliwych i dotychczasowym mężem”, pan Leber zaś miał otrzymać 3.000 dolarów „odszkodowania” i 38 tysięcy dolarów tytułem „innych kosztów”.

Można sobie wyobrazić, z jaką radością

autor „Cienia i światła” podpisywał ów kontrakt. Potem już wszystko poszło gładko. Pani Leber uzyskała rozwód w meksykańskim mieście Juarez, gdzie sędziowie nie są zbyt drobiazgowi, następnie woda para udala się do posiadłości pana Browna w Arizonie, gdzie odbyła się uroczystość zaręczyn. I tu dopiero nastąpiła katastrofa. Uwolniona z więzów małżeńskich pani Beata wypłała nieco za wiele a jej przyszły małżonek doszedł do wniosku, że nie jest ona odpowiednią żoną dla farmera. „Ona miała w sobie coś z Elizabeth Taylor i Marilyn Monroe — mówił później multimilioner. — Szkoda tylko, że była skończoną lajdaczką”.

Natychmiast po nieudanej uroczystości zaręczynowej pani Beata otrzymała polecenie opuszczenia farmy. Jej eks-małżonek nie otrzymał ani grosza z przyrzeczonej sumy o przekupstwo i handel żywym towarem. Nie dostał pani Brown z kolei zamierza wystąpić o odszkodowanie „za rozbicie małżeństwa”. Na razie ucieły się języków. Angielski co prawda niewiele się jej przydał, ale może trafi się inny bogaty cudzoziemiec!

opr. m. j.

**MODA**

**MODA \* MODA**

Okres powakacyjny cechuje wzmożone życie towarzyskie, nie od rzeczy więc będzie sprawić sobie lub „umodnić” już posiadaną suknię na tego rodzaju okazje.

Pisałam niejednokrotnie o wizytowym aspekcie obecnej mody. Linia i rodzaje sukienek są zawsze te same — decyduje tu jedynie rodzaj tkaniny — nowa, modna biżuteria, wieczorowa fryzura i „krótki” (przed kolana) styl noszenia. Prócz geometrycznych połączeń, dosyć już popularnych, modne są także suknie gładkie o ciekawych rozwiązaniach dekoltów i wycięciach pach. Ten typ sukni można również łączyć z różnych tkanin, przeważnie na zasadzie innego karczku i innego dołu. Tkaniny — od koronki i szyfonu, poprzez jedwabie różnego rodzaju — do cienkiej krepy.



**Nie każdy rodzi się geniuszem**

W Londynie ukazała się ostatnio książka, która zapewne wydatnie poprawi nastrój wszystkich rodziców, zatroškanych kiepskimi postępkami ich pociech w nauce. Jej autorzy przytaczają szereg przykładów, małych świadków, że ludzie wybitni i genialni często równie źle się uczyli w szkole, powołując się na przykłady, Pi-casso nigdy nie zdołał zapamiętać alfabetu, a Einstein zaczął mówić mając do-piero cztery lata, czytał zaś nauczył się jako chłopiec sied-mioletni. Do najgorszych uczniów w klasie należał także równo Izak Newton jak Win-ston Churchill.

Autorzy twierdzą, że wiele zdolnych dzieci uczy się źle ponieważ mają zbyt wybitną wyobraźnię, „śnią na jawie”. Innych znów zbyt pochochonie uważa się za ma-tolów, bo cierpią na nie staw-nione dolegliwości fizyczne. Rudyard Kipling na przykład był no-torycznym „dwój-kowcem”, dopóki nie przekona-no się, że cierpi na wadę wzroku.



Z Eurypidesa nie choć Orfeuszem, aż na dno piekła, czyż zapomniałeś, że powyżej weso-łuś ci dopieklak?

Kto sercem płacł, ten się bogaci.

W teatrze moskiewskim, w kącie poszły kontugacje, gdy przyszedł czas na umiarkowanie!

Głupie rozchłaniły najbardziej się cenit, lecz lochanikowie muszą być uczenni.

**Przestrogi i pouczenia Jana Sztajdyngera**



UWAGA! GROZBA TURYSTÓW

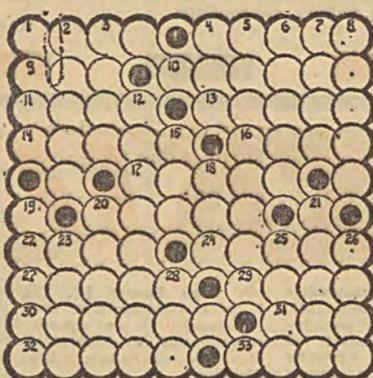
**Rozrywkiumyslowe**

(REDAGUJE KLUB SZARADZISTÓW PRZY ŁDK)

**KRZYŻÓWKA**

**POZIOMO:** 1. Rów obronny. 4. Technika barwnego zdobienia tkanin. 9. Szescian. 10. Słynna tancerka polska. 11. Zdrobniałe imię męskie. 13. Republika konstytucyjna w Azji Mniejszej. 14. Korsarz. 16. Do zła lub ścierania. 17. Imię męskie. 20. Rewolucjonista francuski, przyczynił się do upadku żyrodystów. 22. Port nad Morzem Czarnym. 24. Do zatykania. 27. Zuch, chwiał. 29. Pole uprawne. 30. Zdanie, pogląd. 31. Polityka gospodarcza w Rosji Radzieckiej wprowadzona na miejsce komunizmu wojennego. 32. Folwarczny pracownik najemny. 33. Wulkan na sycylii.

**PIONOWO:** 1. Część dachu. 2. Wyrobnik, tragarz w kopalniach Azji Wschodniej. 3. Kelnier. 4. Wielka zabawa. 5. Krokodyl. 6. Stado dzikich koni. 7. Tytuł duchowny i świeckiego wladcy muzułmańskiego. 8. Przysmak kanarków. 12. Pociąg pustyni. 15. Część bieżni. 18. Polny kwiat. 19. Stopień wojskowy. 20. Ponaglenie na piśmie. 21. Pierwiastek chemiczny z rodziny tlenowców. 23. Piętnaste danie. 25. Patrol wojskowy kontrolujący warty i posterunki. 26. Przykrycie na kółko. 28. Ma dwa końce.



**ZA PRAWIDŁOWE ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWEK Z NR 181 I 187 „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO” NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMUJĄ:**

- 1) Antonina Koszarska — Łódź 26 ul. Gdańska 106 m. 20
- 2) Janina Miller — Łódź ul. Piotrkowska 56 m. 43.
- 3) Sylwia Rutkowska — Łódź ul. Piotrkowska 26.
- 4) Julian Horłowicz — Łódź ul. Wschodnia 29 m. 21.
- 5) Barbara Steckiewicz — Cieplice Śl. ul. Podgórzyska 3 m. 13.
- 6) Zygmunt Sielc — Łódź ul. Zapadna 50.
- 7) Teresa Karczewska — Łódź ul. Ossowskiego 21.
- 8) Iwona Bęczkowska — Łódź ul. Srebrzyńska 87 m. 2.
- 9) Krystyna Kucharska — Łódź ul. Pabianicka 73.
- 10) Aniela Szumnarzka —

**Za trzy miesiące ukaże się drugie powiększone i uzupełnione wydanie zbiorku humorów z tytułowanych „Przy szabasowych świecach.” Żydowski humor, anegdota oraz jakże specyficzny folklor znajdują tu swój doskonały wyraz w relacjach znanego satyryka Horacego Satrina. A oto dwie próbki z nowego tomiku.**

**Dedukcja**



Anczel, kramarz z małopolskiego miasteczka Iwanie Puste, przyjechał w sprawach handlowych do Warszawy. Udając się w drogę powrotną zauważa, że stojący przed nim obok okienka kasowego elegancki jegomość w złotych binoklach kupuje bilet, i to pierwszej klasy, również do stacji Iwanie Puste.

Żyd nie wierzy własnym oczom. Idzie w ślad za elegantem i stwierdza, że pasażer w złotych binoklach wsiada do wagonu pierwszej klasy Warszawa — Husztyn, a więc jedzie faktycznie do stacji Iwanie Puste. Anczel wspina się na stopnie wagonu, drepcie niespokojnie po korytarzu i łamie sobie głowę: — Czego ten jegomość szuka w naszej przedelanej dechocie? Jeśli chodzi o małżeństwo, to największy bogacz naszego miasteczka Saul Doliner dwa lata temu wyjechał za naj młodszą córkę... A jeśli o interesy?... Jakiż interesy, pożałuj Boże, można robić w miasteczku Iwanie Puste?!

Nagle Żyd przystaje i uderza się w czoło: — Coś niecoś zaczynam kapować... Ten stary łobuz Pinkas Berger idzie po raz trzeci bankrutować. Dwa razy uszło mu to na sucho, ale po raz trzeci sprawa pachnie więzieniem. Chce się więc poradzić dobrego adwokata... Ale czy stać go na to, żeby sprowadzać mecenasa z samej Warszawy?!

Anczel wytepa pamięć: — Szał! Przypomniałem sobie... Icek Berger po śmierci szwagra zapiekował się swoim siostrzeńcem. Chciałbym to wiedzieć w kieszeni, co ten lajdak zarobił na tym opiekunostwie!... Ale chłopiec ukończył gimnazjum, studiował prawo, został adwokatem. Podobno jest nawet syndykiem Banku Rolniczego. A jeśli on jest syndykiem, to na pewno zmienił nazwisko. Wiesz jak on się może teraz nazywać?... Pamiętam dokładnie, że nazywał się kiedyś Oster. Więc jak? Oster? Nie, to zbyt podobne do Oster. Osterski? Nie, to brzmi trochę po żydowsku... Jakiż wiecie! On się na pewno nazywa Ostrowski!

Żyd, po krótkim namyśle, wchodzi do przedziału, która ma się nisko i powiada: — Dzień dobry, panie Ostrowski! A jegomość w złotych binoklach mierzy go spojrzeniem aż stóp do głów i pyta zdziwiony: — Nie pamiętam, gdzieśmy się poznali... Skąd pan zna moje nazwisko? — Ja sobie to nazwisko — oświadcza Anczel z uśmiechem — wy-de-du-ko-wa-lem!

**Sztuka przewidywania**



W przedziale kolejowym siedzą dwaj Żydzi. Starszy — wysoki, zażywny, w aksami-tnym kapeluszu i jedwabnym chalacie. A naprzeciw — młodszy w szaroczkowych spodniach, ciemnym luzurku, z jaskrawym krawatem, uwiązany na szyję wyci- krochmalonym kołnierzyku.

Młodszy, chcąc rozpocząć pogawędkę, zadaje stereotypowe pytanie: — Przepraszam pana, która godzina?

Starszy Żyd milczy. Młodszy obrażony, usuwa się w kąt, ale zanim pociąg dojeżdża do Przemysła, nie może powstrzymać się od słów:

— Pół godziny temu spy-tałem pana grzecznie, która godzina? Jestem ciekaw, dlaczego nie raczył mi pan odpowiedzieć na moje pytanie? — Zaraz to panu wyjaśnię, młody człowieku — mówi starszy Żyd. — Spytał mnie pan o godzinę. Mogłem wy-jąć z kieszonki kamizelki mój złoty zegarek i odpo-wiedzieć: „Jest godzina i dzie-siąt minut awdziejścia”. A wtedy wywiałaby się między nami następująca rozmowa: „Pan ma bardzo ładny zegarek.” „Tak, mam ładny zegarek.” „A jeśli pan ma ładny zegarek, to na pewno prowadzi pan do-bre interesy.” „Tak, pro-wadzę dobre interesy.” „A czym pan handluje?” „Sia-nem i otrębami.” „A miesz-ka pan w Przemyslu?” „Tak, mieszkam w Przemyslu.” „I ma pan tam na pewno ładny dom?” „Tak, mam w Przemyslu ładny dom.” „I ma pan rodzinę?” „Tak, mam rodzinę.” „I ma pan córki?” „Tak, mam dwie ładne córki.” I jaki byłby rezultat naszej roz-mowy? Po kilku dniach miałbym zaszczyt pana go-ścić u siebie w domu — i już nazajutrz oświadczyłby się pan o rękę mojej star-szej córki Estery... I po-wiedział pan sam, młodzień-cu! Jakże ja mogę rękę mojej córki oddać estowic-kowi, który nawet nie-ma zegarka!

Wstąpieniem francuskich dzieci jest mały figlarz — piesek Pif. Jego rozliczne przygody obserwowane są z nie słabnącą od lat uwaga. Chcąc zapoznać z nimi na-szych milusińskich, rozpoczę-lisny druk (za francuskim piśmie „L'Humanite”) cyklu pt. „1000 pomysłów Pifa”.



